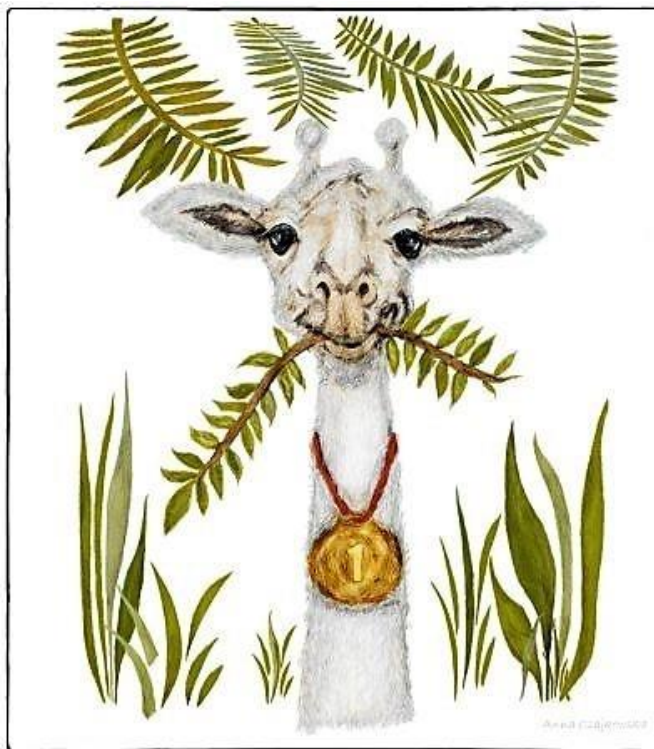


„Łatki żyrafy Klementynki”

Dla dzieci, które mają problem z samoakceptacją i których nie akceptują rówieśnicy.

Gdzieś na dalekiej pustyni – wśród niedużych drzew i bardzo wysokich traw gorącej afrykańskiej sawanny, mieszkała siedmioletnia żyrafa Klementynka. Razem z nią – jej tata Maurycy, mama Michalina, młodszy braciszek Gucio, siostrzyczka Celinka i cała reszta wielkiej żyrafiej rodziny – ciocie, wujkowie, kuzyni i kuzynki. Klementynka bardzo ich wszystkich kochała. Dlatego uwielbiała wspólne rodzinne wycieczki. Najbardziej lubiła, tuż po szkole, chodzić do oazy – nad rzekę i razem z kuzynostwem długo figlować w wodzie. A za wyścigami w obgryzaniu ulubionych liści z drzewa akacjowego, Klementynka wręcz przepadała. Bo nie miała sobie w tym równych – niemal wszystkie pierzaste akacjowe liście, nawet te najdrobniejsze, za każdym razem znikwały w jej pyszczku niepostrzeżenie. I choć po wszystkim, czasem bolał Klementynkę bardzo najedzony brzusek, ona wcale na to nie narzekała. Bo i z tym świetnie sobie radziła. Dobrze wiedziała, jak go masować, by przestał boleć, niemal w jednej chwili. A gdy już poczuła się lepiej – zadowolona z siebie i dumna ze swojego zwycięstwa, biegła co sił w jej cienkich żyrafich nóżkach, by odebrać swój upragniony medal z kory baobabu. A potem nosić go dumnie na długiej szyi. W takich chwilach Klementynka bardzo lubiła – swoją szyję, wszystkie cztery nóżki, brzusek, główkę i ogonek – lubiła całą siebie – bo zapominała wtedy o tym, czego tak bardzo jej brakowało. O czym marzyła, za czym tęskniła, co bardzo chciała zobaczyć na swoim, od zawsze białym futerku. Chciała, by na jej główce, na nóżkach, brzuszku, nawet na ogonie – niczym ubranko – pojawiły się wreszcie brązowe łatki. Bo odkąd Klementynka pamiętała, nigdy ich tam nie było – nawet jednej. A ona tak bardzo pragnęła w końcu cieszyć się własnymi łatkami. Każdego dnia, wciąż od nowa oglądać swoje „łaciate ubranko”. Tak jak robiła to mama, tata, Gucio, Celinka – każdy wujek i ciocia – kuzyni i kuzynka. Marzyła, by każdego ranka wesoło witać łatki – wszystkie razem i każdą z osobna. A nocą, gdy po ciemnym niebie wędrował pyzaty księżyc – mówić im dobranoc.

Klementynce było czasem ogromnie smutno i ciężko bez łatek. Czuli się tak, jakby ktoś – po cichu, całkiem po kryjomu, zabrał jej ubranko i zostawił – zupełnie samą, taką nieubraną. Bardzo się tym martwiła, mocno to



przeżywała. Zwłaszcza wtedy, gdy na przerwach w szkole, tuż za plecami, słyszała śmiechy i złośliwe żarty kolegów i koleżanek. Było jej niesłuchanie przykro, gdy – raz po raz – pokrzykując, rzucali za nią uszczypliwe – *Golas, Golas!* A chwilę potem, wybuchali głośnym śmiechem. Wtedy Klementynka coraz mocniej czuła, jak jej serduszko ściska żal, a do małych jak węgielki oczu, napływają wielkie łzy. I niczym dwa strumyki, płyną po jej poczerwieniałych od wstydu policzkach. A ona, choć ze wszystkich sił się stara, to w żaden sposób nie może ich zatrzymać – łzy wciąż płyną i płyną. Niemal bez końca. W takich chwilach Klementynka najbardziej nie znosiła swojej długiej szyi i nóg. Ze wstrętem myślała o swoim brzuszku, głowce i ogonku – nie chciała wcale na siebie patrzeć. W jednej chwili zapominała o wszystkim, co uwielbiała – co sprawiało, że czuła się najszcześniejszą ze wszystkich żyraf na świecie. O wesołych figlach w rzece, ulubionych akacjowych listkach. Nawet upragniony medal z kory baobabu wcale jej wtedy nie cieszył. Czuła się taka nieporadna, brzydka i nikomu niepotrzebna, przez nikogo niechciana. Nie lubiła nawet maleńkiego kawałeczka siebie. Cierpiała tak mocno, że chciała całkiem zniknąć – gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie – i nigdy już nie wrócić. Ale nadszedł pewien wyjątkowy dzień...

Tego dnia słońce wstało bardzo wcześnie, budząc Klementynkę swymi promykami. A mała żyrafa, otwierając powoli zaspane jeszcze oczy, sennie przeciągała się w pachnącej pościeli z palmowych liści. By już po chwili wstać i – ku



swojemu zaskoczeniu – szerokim, radosnym uśmiechem przywitać nowy dzień. Ten radosny uśmiech naprawdę ogromnie Klementynkę zaskoczył. Bo zwykle budząc się rano, wcale się nie uśmiechała. Zazwyczaj bała się nowego dnia w szkole. Z niepokojem myślała o tym, co się wydarzy. O koleżankach i kolegach, ich głośnym śmiechu i pokrzykiwaniach. Często mówiła do mamy – „*Bardzo się boję, mamusi!*” – masując przy tym brzuszki, obolały ze strachu. Ale tego dnia Klementynka w ogóle nie czuła strachu. Wcale go nie było. Więc ucieszona, ale mocno tym zdziwiona, spokojnie zjadła na śniadanie krem akacjowy, który przygotowała dla niej mama. A potem – nadzwyczaj chętnie i pewnym krokiem, ruszyła w drogę do szkoły.

W szkole ranek zaczął się jak zwykle – głośnym dzwonkiem na lekcje. Ale Klementynka czuła, że właśnie dziś, i właśnie w szkole wydarzy się coś wyjątkowego. Dlatego – mocno przejęta, podnosząc do góry spuszczoną zwykle głowę, weszła do klasy. A tam, koledzy i koleżanki – wszystkie lwiątko, antylopy, gepardy, małpki i słoniątka – jedno przez drugie – śmiały się do siebie i rozmawiały. A że – pani wychowawczynie – Zebry Stefani nie było jeszcze w klasie, to rozmawiały tak głośno, że nawet Klementynki nie zauważyły. A ona, cicho usiadła w swojej ławce – z bambusowego plecaka wyjęła piórniki, zeszyty i książki. Po czym, zaciekawiona, przysłuchiwała się rozmowom. Jednak już po krótkiej chwili wszystkie

rozmowy i śmiechy umilkły. Przerwał je głośny stukot kopyt, a w klasie zrobiło się całkiem cicho. Bo właśnie weszła Pani Zebra. Ale tym razem nie przyszła sama. Tuż za nią – nieśmiało i cichutko – szedł mały i całkiem biały – nikomu nieznany gość. Choć miał pyszczek, uszy, ogon, łapki – takie jak małe lwiątko czy gepardy, to nie miał na sobie żadnych cętek – jak one. Wszystko miał białe. A zdziwione i zaskoczone tym zwierzątką bardzo uważnie mu się przyglądały. Poruszone, szeptały między sobą, niektóre nawet cicho się śmiały. Tylko Klementynce nie w głowie był śmiech ani szepty. Mała żyrafa posmutniała. Patrzyła bez słowa na nieznajomego gościa i zastanawiała się – czy zgubił swoje ubranko? Czy też, tak jak ona – bardzo za nim tęsknił, bo nigdy go nie miał? Klementynka mocno nad tym rozmyślała. Lecz w pewnym momencie przerwał jej głos wychowawczyni:

– *Dzień dobry dzieci.* Powiedziała spokojnie. – uśmiechając się do swoich uczniów.

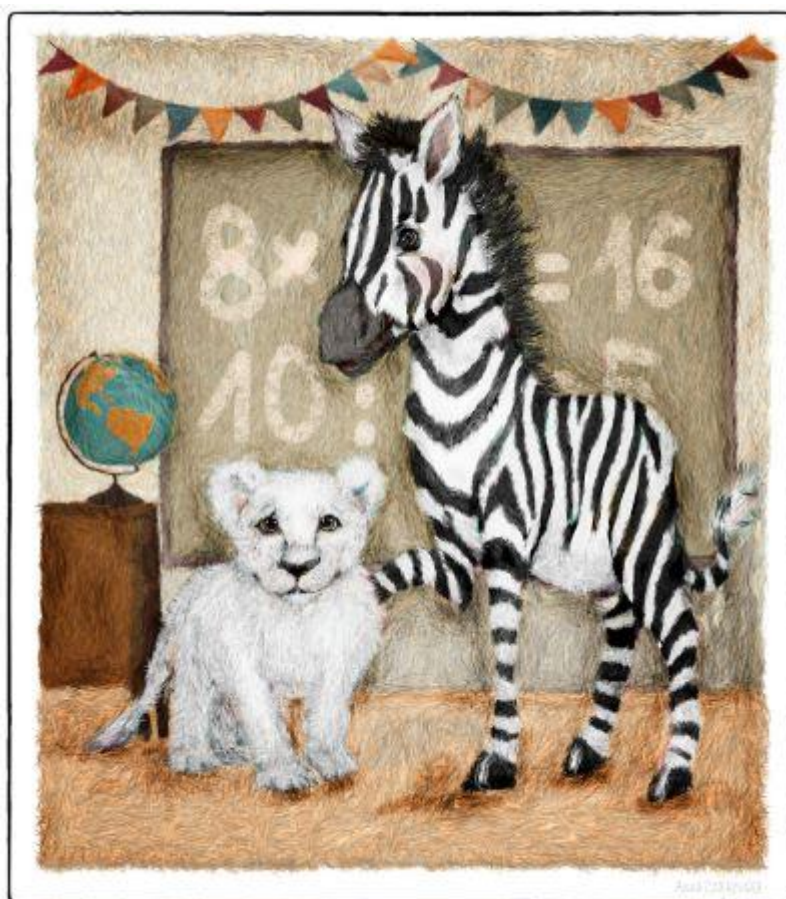
– *Dzieeeeeń dobryyyy!* – odpowiedzieli zgodnym chórem, głośno i przeciągle zwierzątka.

Po czym, Pani Zebra, powoli obracając się w stronę nieznajomego gościa, radośnie dodała:

– *To jest Tari, Wasz nowy kolega. Od dziś będzie chodził z Wami do klasy. Bardzo proszę, przywitajcie się z nim.*

Po tych słowach w klasie rozległo się głośne – *Cześć Tari!* A potem każde ze zwierzątek przedstawiło się nowemu koledze, głośno wypowiadając przy tym swoje imię. Ale Tari odpowiadał tylko cichutkim i drżącym – *Cze... cze... cześć...* Bo powitanie nowych kolegów nie było dla niego łatwe. Wśród nowych znajomych, w nowym dla siebie miejscu, czuł się onieśmielony i nieco przestraszony. Aż do chwili, gdy spostrzegł, że tuż obok niego, Pani Zebra rozkłada na podłodze

duże, słodko pachnące, puchate poduchy z kwiatów i liści akacji – układając z nich wielkie koło. Tari uwielbiał zapach kwiatów akacji. Potrafił zbierać je do małych bambusowych koszyków, tak szybko, jak nikt inny. Marzył przy tym, by kiedyś zrobić z nich perfumy. Więc uradowany, natychmiast wskoczył na największą poduchę i rozłożył się na niej wygodnie, zachwycony jej zapachem. Lecz wkrótce potem, widząc zdziwienie na pyszczkach nowych kolegów i koleżanek, rozejrzał się wkoło niepewnie. I dopiero teraz zauważył, że tylko jedna poducha była zajęta, a on właśnie na niej leżał. Gdy pośpiesznie chciał wstać, Pani Zebra uspokajająco pogłaskała go za uchem, prosząc, by został na swojej poduszce. A kolegów i koleżanki zaprosiła, by dołączyli do poduszkowego kręgu. I już po chwili nie było nikogo, kto siedziałby w ławce. Nawet Klementynka – niemal jednym susem – wybiegła ze swojej, choć niesłychanie ją lubiła. Tym razem nikt nie śmiał się z małej



żyrafy, nawet przez moment. Przejęte wydarzeniem zwierzątka, radośnie biegły tuż za Klementynką. A zaraz potem, z wypiekami na policzkach, rozłożyły się wygodnie na miękkich, pachnących poduchach. By szeroko otwierając oczka, z uwagą słuchać, jak Pani Zebra opowiada starą magiczną afrykańską historię o tym, jak dawno, dawno temu nad sawanną rozszalała się wielka burza. Ulewny deszcz padał tak długo i mocno, aż zalał wszystko, co spotkał na swojej drodze. A silny huragan unosił w powietrze, co tylko mógł i porywał ze sobą, gdzieś daleko. Nikt nie wiedział gdzie. Ludzie bali się ogromnie. Nie wiedzieli, co się z nimi stanie. Wtedy bardzo stary afrykański czarownik opowiedział im o lwiątku, jakiego nikt wcześniej nie widział. Mówił, że już niedługo urodzi się gdzieś w afrykańskim buszu – pośród wysokich traw sawanny. I choć tak jak wszystkie inne lwiątko, będzie miało malutki pyszczek, uszka, ogonek i cztery łapki, to jego mięciutkie futerko będzie całkiem białe. Nigdzie, ani na pyszczku, ani na łapkach, nawet na ogonku lwiątko nie będzie miało ani jednej malutkiej cętki. A gdy dorośnie, gdy już będzie białym lwem – z ogromną, puszystą i lśniąca grzywą, przegna znad sawanny wszystkie groźne huragany, burze i ulewy. I tak się stało. Biały lew nigdy nie pozwolił zrobić ludziom krzywdy. Opiekował się nimi bardzo troskliwie. Żadna burza, huragan ani ulewa już nigdy nikogo nie skrzywdziły.



Gdy Pani Zebra skończyła swoją opowieść, w klasie zrobiło się tak cicho, że słyszeć było nawet najmniejszy szelest. Oczy Klementynki, małych lwiątek, antylop, gepardów, małpek i słoniątek patrzyły teraz na Tarięgo. Zdawały się pytać nowego kolegi – też tak potrafisz? Pani Zebra natychmiast zauważyła zaciekawione spojrzenia swoich uczniów i spokojnie, z uśmiechem w głosie powiedziała:

– *Świat jest ogromny i potrzebuje różnych zwierzątek. Tych w kropki, w paski, w cętki, w łatki i tych, których futerka są bez tego. Bo każde z nich potrafi robić coś zupełnie innego. Coś, w czym nie ma od siebie lepszego. Biały lew, o którym Wam opowiadałam, był mistrzem w przeganianiu groźnych burz huraganów i ulew. A Wy? W czym jesteście mistrzami?*

To mówiąc, Pani Zebra ściszyła głos. A zwierzątka, niemal jedno przez drugie, chciały opowiedzieć wszystkim wkoło o tym, co robią tak dobrze, jak nikt inny. Gdy przyszła kolej na Klementynkę, mała żyrafa pochwaliła się swoim medalem z kory baobabu. Nawet go wszystkim pokazała. Bo właśnie dziś zabrała go ze sobą do szkoły. I z dumą w głosie opowiadała o tym, jak szybko pierzaste liście akacji znikają w jej brzuszku. Koledzy i koleżanki, patrzyli na nią zdziwieni ogromnie. A potem długo oglądali medal, podając go sobie nawzajem. I co jakiś czas niemal pokrzykując z podziwu. Klementynka widząc to, uśmiechała się ucieszona, a jej małe serduszko radośnie biło coraz szybciej i szybciej. Niedługo potem, Tari przekonywał wszystkich, że nie przeganiał jeszcze nigdy żadnej burzy huraganu ani ulewy. Ale chyba najszybciej na świecie zbiera kwiaty akacji. A po krótkim

namyśle, dodał – *kiedys sam zrobię akacyjne perfumy*. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie w tym momencie, niespodziewanie przerwało mu głośnie i radosne – *ja chcę perfumy, ja chcę!* To Klementynka, aż krzyknęła na samą myśl o perfumach, tak samo akacjowych, jak jej ulubione listki. Po czym, mocno zaskoczona i lekko zawstydzona swoim zachowaniem, spuściła głowę w dół, a na jej policzkach pojawiły się dwa niezwykle duże i czerwone rumieńce. Widząc to, Pani Zebra spokojnym krokiem podeszła do małej żyrafy, swoją pasiastą nogą delikatnie objęła ją za jej długą szyję i ciepłym głosem powiedziała:
– *Klementynko, jeśli poprosisz – myślę, że Tari chętnie podaruje Ci pachnący prezent.*
– *Tak, tak! Zrobię dla Klementynki najpiękniejsze perfumy na świecie!* Rozległo się z głębi sali. To Tari, nie czekając ani chwili, zawołał głośno i radośnie, słysząc słowa Pani Zebry. A mała żyrafa, wyszeptała tylko cichutkie – *dziękuję*. I uśmiechnęła się nieśmiało.



Od tamtego dnia Klementynka i Tari byli najlepszymi przyjaciółmi. Koledzy i koleżanki już nigdy nie śmiali się z małej żyrafy. Niemal codziennie, prawie na każdej przerwie, wciąż zachwycali się medalem i wypytывali Klementynki, kto nauczył ją tak szybko połykać akacyjne listki. A ona, szczęśliwa i od ucha do ucha roześmiana, cierpliwie, i wciąż od nowa, opowiadała o wszystkim, prawie jednym tchem. Jej białe futerko też już nikomu nie przeszkadzało. Wszyscy z zachwytem mu się teraz przyglądali. Bo zauważyli, że w blasku słońca niezwykle pięknie lśniło i połyskiwało. Na domiar tego, Klementynka poczuła – zupełnie niespodziewanie, że było niezwykle mięciutkie. I tak przyjemnie ją otulało. Teraz każdy dzień w szkole mijał Klementynce radośnie. Żadnej przerwy już się nie bała. Bo złośliwych śmiechów już słyszeć nie było. Umilkły uszczypliwe pokrzykiwania. A gdy pewnego dnia Tari podarował Klementynce pachnący akacjowy prezent. Mała żyrafa aż podskakiwała z radości – *dziękuję, dziękuję!* Pokrzykiwała. A chwilę potem, już spokojnie i ostrożnie otworzyła mały, pękaty, zielony flakonik, – uwalniając z niego ogromną – pachnącą chmurę. I nie zdążyła nawet mrugnąć okiem, a już wszystko wokół – nawet jej białe futerko, cudownie pachniało akacjami.

Teraz już każdego ranka – szczęśliwa – i jak nigdy dotąd radosna Klementynka – z przejęciem czesała i perfumowała swoje białe, lśniące, mięciutkie futerko. Cieszyła się tym przeogromnie. Bo w całej żyrafiej rodzinie, tylko ona takie – nie lada ubranko nosiła. Tylko ona takie miała.